

vincent

„ON BYŁ JEJ MROCZNĄ BAJKĄ,
ONA JEGO POKRĘCONĄ FANTAZJĄ”.
F. SCOTT FITZGERALD



JULIA BRYLEWSKA



Copyright © 2023
Julia Brylewska
Wydawnictwo NieZwykłe
All rights reserved
Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

Anna Strączyńska

Korekta:

Sara Szulc

Katarzyna Olchowy

Dominika Kalisz

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Autor ilustracji:

Marta Michniewicz

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-814-5

JULIA BRYLEWSKA

VINCENT

OŚWIĘCIM 2023

Od Autorki

Drogi czytelniku!

Cieszę się, że mam okazję zaprosić Cię do przeżycia kolejnej przygody ze stworzonymi przeze mnie bohaterami. Mam nadzieję, że spędzisz wiele wspaniałych chwil w towarzystwie Eleanor i Vincenta!

Vincent nie jest kontynuacją, prequelem czy też sequelem którejkolwiek z napisanych przeze mnie książek. Jest to osobna historia, która zamyka się w jednym tomie.

Książka nie ma na celu promowania zachowań dewiacyjnych czy też gloryfikowania jakiejkolwiek formy łamania prawa. Opisane sytuacje i wydarzenia nie powinny stanowić wzoru do naśladowania.

Vincent zawiera treści nieodpowiednie dla osób poniżej szesnastego roku życia.

Miłego czytania!

Julia ♥

*I zazdroszczą mi może, że rabuję skrycie
Godzinę jedną temu, co mi bierze życie.*

Victor Hugo, Dramat w pięciu aktach



Prolog

Vincent był złodziejem. Niezwykle eleganckim i czarującym.

Zdolność urzekania ludzi, która przypadła mu w spadku albo po matce, albo po ojcu – żadnego z nich nie miał okazji poznać, stąd też nie był w stanie określić, po kim tę zdolność odziedziczył – pozwalała mu zdobywać wszystko, czego tylko zapragnął. Zwykle nie musiał nawet posuwać się do użycia słów. Najczęściej wystarczył zaledwie uśmiech.

W dzieciństwie zwykł wykorzystywać swój „dar”, aby dostać większą porcję ciastek niż pozostałe dzieciaki w sierocińcu, w którym przyszło mu dorastać. Nigdy nie narzekał na taki stan rzeczy, być może dlatego, że nie miał pojęcia, iż istnieje coś innego niż to, co otrzymał od losu.

Jednak z czasem, gdy dorósł na tyle, by przekonać się, w jak paskudnym świecie przyszło mu żyć, zrozumiał, że mógł wykorzystać swój talent do zdobycia czegoś więcej niż kilka spalonych ciastek w porze podwieczorku.

Zaczął zatem kraść. Nie z przymusu, lecz z wyboru. Podczas gdy inne dzieciaki pilnie uczyły się do egzaminów, by dostać się na dobre uczelnie i zostać ludźmi idealnie wpasowującymi się w przyjęte w społeczeństwie normy dorosłości, Vincent skrupulatnie pielęgnował to, w czym był najlepszy.

W późnych porach wieczornych wykradał się do galerii i wrodzonym urokiem oczarowywał starsze, bogate i samotnie spacerujące kobiety, które niemal same wpychały mu kosztowności w chłapięce dłonie.

Choć początkowo odczuwał coś, co mogło być skruchą i wyrzutami sumienia, szybko przypominał sobie, że nie potrafił ni-

czego innego. Żył więc tak, jak umiał. Nawet jeżeli inni ani trochę tego nie pochwalali.

Czyż w życiu nie chodzi o odnalezienie tego, w czym jest się najlepszym, i kurczowe trzymanie się tego, nie zważając na to, co pomyślą o nas inni?

W czwartkowe popołudnie, gdzieś pomiędzy czasem, który ludzie zwykli nazywać porą podwieczorku i na krótko przed kumulacją komunikacyjnego szczytu, gdy na ulice wypełzali zmęczeni pracownicy wysokich biurowców, Vincent robił to, w czym był najlepszy.

Okazje nadarzały się same, przychodziły niespodziewanie i sprawiały, że dotąd niewzruszone serce pewnego złodzieja zaczęło bić odrobinę szybciej.

Dostrzegł ją snującą się między manekinami jednego z ekskluzywnych butików na piętrze małej galerii. Mogła mieć nie więcej niż czterdzieści pięć lub czterdzieści sześć lat. Jasne włosy upięła w elegancki kok, pragnąc sprawić wrażenie nieco bardziej mątej niż w rzeczywistości. Z pewnością była samotna. Vincent zawsze potrafił to rozpoznać.

Zdobiąca palec jej prawej ręki złota obrączka wskazywała natomiast na to, że w przeszłości ktoś ją kochał. Wdowa lub rozwódka, jak sądził. A może wciąż była zamężna, ale w związku, w którym tkwiła, czuła się o wiele bardziej samotna niż na oddalonej od cywilizacji bezludnej wyspie?

Ostatecznie nie miało to większego znaczenia.

Tym, co przyciągnęło jego uwagę, był perłowy naszyjnik, który okalał szczupłą szyję kobiety. Błyszczał w świetle sklepowych lamp. Zachwycający i piękny.

Vincent, jak przystało na złodzieja, uwielbiał wszystko to, co piękne i kosztowne.

Przez chwilę obserwował kobietę z dogodnej odległości, a gdy wreszcie zdecydowała się wybrać jedną z sukienek, podążył za nią niczym cień. Żadna z pracownic sklepu nie zwróciła na nie-

go uwagi. Były zbyt zajęte plotkowaniem o najnowszym sezonie jakiegoś taniego reality show, by zaprzętać sobie głowę mężczyzną w czerni wkradającym się do przymierzalni.

Tymczasem Vincent zwolnił kroku. Przy wejściu do przymierzalni ustawiono długi wieszak, gdzie klienci porzucali ubrania, które w sklepowym lustrze nie sprostały ich oczekiwaniom.

Chwycił pierwszą lepszą rzecz – szarą marynarkę w dużą kratę – i wszedł do przymierzalni w tej samej chwili, w której kobieta z perłami wyszła z kabiny i stanęła przed ogromnym lustrem.

Miała na sobie tę samą sukienkę, którą kilka chwil wcześniej wybrała. Intensywnie zielony materiał ściśle przylegał do jej wąskiej talii. Choć każda inna kobieta w jej wieku zapewne byłaby w pełni zadowolona, gdyby jej odbicie wyglądało właśnie tak, na twarzy nieznajomej pojawił się grymas rozczarowania i niepewności.

Kilka sekund przed tym, jak uniosła wzrok, Vincent powiedział ze swobodą w aksamitnym głosie:

– Proszę wybaczyć, że tak bezceremonialnie się przyglądam, ale wygląda pani obłędnie.

Kobieta poderwała głowę, nie kryjąc zaskoczenia. W odbiciu ogromnego lustra dostrzegła stojącego kilka kroków za nią mężczyznę w czarnym płaszczu, z szarą marynarką przerzuconą przez przedramię. Nawet z takiej odległości mogła dostrzec, że przewyższał ją o ponad głowę. Był młodszy od niej zapewne o więcej niż dziesięć lat. Jego biała skóra kontrastowała z czernią ubioru i zlewała się z odcieniem białych włosów. Natomiast jego ciemne oczy patrzyły na nią z błyskiem, który w dziwny sposób sprawił, że uwierzyła w każde wypowiedziane przez niego słowo.

– Och. Naprawdę tak pan uważa? – Jeszcze raz przejrzała się w lustrze i dłońmi pokrytymi przez pierwsze bardziej widoczne zmarszczki wygładziła zielony materiał. – Wydawało mi się, że ta sukienka odrobinę mnie pogrubia, ale czego się mogę spodziewać? Nie wyglądam już przecież jak nastolatka!

Vincent przesunął się o krok. Poruszał się tak cicho, że kobieta nawet tego nie spostrzegła.

– Doprawdy? – zapytał z pełnym przekonania zaskoczeniem.
– Bo patrząc na panią w tej sukience, jestem zupełnie innego zdania.

Nieznajoma nie zdołała zapanować nad uśmiechem. Nigdy nie była łasa na podobne komplementy, ale kiedy po raz drugi w odbiciu lustra odnalazła spojrzenie czarnych oczu mężczyzny, znów z zadziwiającą łatwością mu uwierzyła.

– To jakaś specjalna okazja? – zapytał, bezgłośnie stawiając kolejny krok.

– To moja pierwsza randka od śmierci męża – wyznała, przekraczając tkwiącą na palcu złotą obrączkę. Był to gest pełen sentymentu i tęsknoty. – Chyba już zapomniałam, jak to jest być piękną.

Vincent pokręcił głową, jakby dezaprobuując słowa, które właśnie padły.

Odgrywał ten scenariusz już tak wiele razy – znajdował ofiarę, odszukiwał jej słabość, a potem karmił ją tym, wobec czego odczuwała największy głód.

Ludzie byli bowiem tak prostymi do odgadnięcia istotami. Pogrążeni w smutku i rozpacz, łapali się nawet najbardziej absurdalnej i niedorzecznej okazji, by wyrzucić z siebie to, co od dawna spędzało im sen z powiek.

– Każda kobieta jest piękna, jeśli tylko sobie na to pozwoli – odparł, pozwalając, aby prawy kącik jego ust nieznacznie drgnął w lekkim uśmiechu. Był zachęcający i wyraźnie dodał kobiecie odwagi. – Proszę tylko na siebie spojrzeć... – Uniósł dłoń, po czym smukłymi palcami dotknął jej szczupłego ramienia. Opuszkami przesunął po perłowym naszyjniku, który uśmiechał się do niego w lustrzanym odbiciu.

Spojrzał na nią w lustrze i pochwycił lekko zamglony wzrok kobiety. Stojąc tuż za nią, od góry do dołu spowity w czerni, z błądą niczym śnieg skórą i nieznacznym uśmiechem skrywają-

cym w sobie o wiele więcej nikczemności, niż mogłoby się wydawać, wyglądał jak upiór czający się tuż za jej ramieniem.

– Proszę to powiedzieć – nakazał zachęcająco, przesuwając rękę w kierunku jej szyi. – Na głos.

Kobieta uniosła dumnie podbródek. Gdy w następnej chwili rozchyliła wargi, te zadrżały z widocznym zawahaniem.

– Jestem piękna.

Vincent uśmiechnął się nieco szerzej, jakby z dumą i zadowoleniem. Od zawsze był dobry w graniu emocjami. Niekiedy wystarczył odpowiedni uśmiech czy właściwy ton głosu albo najdrobniejszy nawet gest, by całkowicie omamić ofiarę.

Pochylił się odrobinę i szepnął:

– Proszę nigdy więcej w to nie wątpić.

Pod palcami poczuł, że kobieta zadrżała. Na jej policzki wypłynęły delikatne rumieńce, a brązowe oczy zabłyszczały z zachwytu. Przepadła, a on nie potrzebował już niczego więcej.

Kilka sekund później odsunął się od nieznajomej, cofnął dłonie i dodał:

– Drobną radą. – Zerknął na obrączkę na jej palcu. – Przed randką niech pani koniecznie ją zdejmie.

Kobieta spojrzała na niego z zaskoczeniem. Od śmierci męża, choć od tamtego dnia minęło już dziesięć lat, nigdy się z nią nie rozstawała. Jednak może rzeczywiście nadszedł czas, by przestała nieustannie nosić ją przy sobie, pozwalając, aby ten ciężar przypominał jej o mężczyźnie, którego straciła?

– Dziękuję – szepnęła, jakby sądziła, że właśnie spotkała na swojej drodze dobrą duszę, a nie czarującego złodzieja, w którego kieszeni leżał teraz jej perłowy naszyjnik.

Vincent obdarzył nieznajomą ostatnim uśmiechem, nim zostawił ją w pustej przymierzalni. Po drodze pozbył się kraciatej marynarki i wyszedł ze sklepu tak, jak się do niego dostał – niezauważony przez nikogo.

Wyszedł na zatłoczoną ulicę centrum Baton Rouge¹ i spokojnym krokiem ruszył w kierunku Downtown². Po kilku minutach skręcił w prawo, w jedną z wąskich uliczek między wysokimi budynkami wzniesionymi z szarego kamienia. Dopiero wtedy wydobył z kieszeni swoją zdobycz.

Błyszczące perły przelały się przez smukłe palce złodzieja, ciesząc swoim pięknem jego oczy. Ale i to rozkoszne uczucie przygasało, nim na dobre zdołało rozkwitnąć.

Uśmiech spłynął z ust Vincenta.

Im starszy się stawał, tym częściej łapał się na momentach takich jak ten – gdy znużenie zaczynało ciążyć mu na duszy, a to, co dotychczas przyprawiało go o szybsze bicie serca, stawało się o wiele mniej ekscytujące, niż by tego pragnął.

W ostatnim czasie takie momenty nawiedzały go niemal nieustannie, a Vincent po raz pierwszy w życiu miał wrażenie, że to jemu coś kradziono. Czas był bowiem złodziejem. I nie miał za grosz litości.

Kto by pomyślał, że nawet złodziej może popaść w marazm?

Pustym wzrokiem patrzył na naszyjnik z pięknych pereł. Nie ukradł go dla pieniędzy. Wbrew temu, co mogliby pomyśleć inni ludzie – wcale ich nie potrzebował, ani tym bardziej ich nie chciał. Pieniądze czyniły z ludzi głupców, odbierały rozum i sprawiały, że wszystko stawało się żałośnie łatwe.

Jak wiele warte jest życie pozbawione wyzwania i trudności?

Vincent kradł, bo lubił trzymać w dłoniach wszystko, co piękne, lecz nie potrafił już cieszyć się tym w równym stopniu, co kiedyś. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że powoli przestawał być... sobą. Zupełnie jakby czas kawałek po kawałku zabierał mu wszystko, co dotąd czyniło jego życie sensownym.

¹ Baton Rouge – położone nad rzeką Missisipi miasto w Stanach Zjednoczonych, które jest stolicą stanu Luizjana (przyp. aut.).

² Downtown – jedna z dzielnic Baton Rouge (przyp. aut.).

Blade palce zacisnęły się na perłach. Chwilę później naszyjnik wylądował na dnie kieszeni czarnego prochowca, a od ścian wąskiego zaułka odbiło się echo kroków.

Istniało pewne miejsce w Baton Rouge – zbyt oddalone, by policja zaprzętała sobie nim głowę, i zbyt obskurne, aby ktokolwiek, kto nie był nikczemnikiem, dobrowolnie zdecydował się przekroczyć jego próg.

Właścicielem był Dave, choć Vincent od początku podejrzewał, że jego prawdziwe imię różniło się od tego, którym posługiwał się, gdy stał za kontuarem baru.

Z oddali lokal wyglądał jak dawno zapomniane miejsce, które pod wpływem czasu zapadło się nieco pod ziemię, więc każdy, kto odważył się popchnąć drewniane drzwi, w pierwszej chwili napotykał na swojej drodze kilkustopniowe skrzypiące schody. Dopiero po ich pokonaniu potencjalny klient docierał do jedyne-
go pomieszczenia.

Każdego wieczoru w barze Dave'a gromadziło się więcej złoczyńców, niż można było ich znaleźć w większości więzień stanowych.

Vincent czuł się tu niemal jak w domu. Prawdziwego bowiem nie posiadał. Często wynajmował jeden z małych pokoi na piętrze, oferując w zastaw to, co akurat trzymał w kieszeni płaszcza.

Dave przywitał go, stawiając na blacie szklankę czerwonego, nieprzyjemnie gorzkiego, taniego wina, które barwą przypominało bardziej rdzę niż rubin. W tym miejscu Vincent nie mógł liczyć na kieliszek ani tym bardziej na alkohol lepszej jakości. Nigdy jednak nie narzekał.

– Udane łowy? – zapytał lekko zachrypniętym głosem właściciel.

Dave był uosobieniem stereotypów, które nasuwały się na myśl, gdy ktokolwiek usłyszał: „Właściciel obskurnego baru dla ludzi o równie obskurnych duszach”. Miał szerokie ramiona, był wysoki i postawny, na jego czole widniała podłużna blizna, któ-

rej dorobił się podczas jednej z licznych bójek między pijanymi gośćmi, a z prawego kąca jego wąskich ust wystawał niedopałek papierosa.

Vincent usiadł przy barze, przysunął do siebie szklankę i zdawkowo odpowiedział:

– W istocie.

Jednym z wielu plusów tego miejsca był fakt, że choć Dave zawsze witał złodzieja tym samym pytaniem, a Vincent zawsze odpowiadał na nie w ten sam sposób, ich rozmowy nigdy nie trwały dłużej niż kilka sekund. A nic nie koło zmęczonej duszy lepiej niż towarzystwo alkoholu i ciszy.

Drewniane schody zaskrzypiały za plecami złodzieja. Dwa razy. Chwilę później przy przeciwnym końcu baru pojawiło się dwóch mężczyzn. Przez panujący tu półmrok z trudem można było dostrzec ich twarze, jednak jak większość osób odwiedzających to miejsce byli ubrani na czarno.

Żaden nikczemnik nie chodził przecież w różowym płaszczu.

Zamówili butelkę burbona, a potem jeden z nich powiedział do drugiego:

– To cacko jest warte grube miliony. Bylibyśmy ustawieni do końca życia!

Jego towarzysz chwycił dwie puste szklanki i alkohol, po czym odpowiedział głosem przesiąkniętym sceptycyzmem:

– Niepotrzebnie się nakręcasz, Stan. Żadna błyskotka nie jest warta aż tyle zachodu.

Vincent na dźwięk tych słów nieznacznie podniósł wzrok. Opuszkami palców przesunął po całej długości szkła, które tkwiło w jego dłoni. Tego wieczoru nawet wino nie wydawało mu się kuszące.

Kiedy mężczyźni szli wzdłuż baru, kierując się w stronę pustego stolika nieopodal pokrytego kurzem pękniętego okna, pierwszy z nich rzucił z przekąsem:

– To nie żadna błyskotka. To czarny diament! Pieprzony Święty Graal, Dee! Sprzedałbym duszę samemu diabłu, żeby chociaż zobaczyć to cudo na własne oczy.

– Twojej duszy nie zechciałby nawet i on, przyjacielu.

Zniknęli w ciemnościach lokalu, pozostawiając po sobie tylko echo ochrypłych śmiechów i niewielką iskrę, która rozbudziła ciekawość Vincenta.

Złodziej przeniósł wzrok na Dave'a i zastukał palcami w szklankę. Wino wciąż pozostawało nietknięte, a jego kolor z każdą chwilą zdawał się coraz bardziej zbliżać ku czerni, jakby tutejsze cierpkie powietrze nie służyło również i jemu.

– Czarny diament? – powtórzył, po raz pierwszy łamiąc niepisaną zasadę, dzięki której ich rozmowy nie trwały dłużej niż jednostronna wymiana zdań.

Dave uważnie przyjrzał się mężczyźnie i coś, co dostrzegł na jego twarzy, sprawiło, że bez słowa wyjął spod lady przemokniętą gazetę, a następnie położył ją na blacie, tuż obok szklanki wina.

Na pierwszej stronie widniał pogrubiony nagłówek:

CZARNY DIAMENT SPRZEDANY! WARTOŚCIĄ POBIŁ NAWET „THE ENIGMĘ”³!

– Najdroższy diament, jaki obecnie istnieje – wyjaśnił Dave.
– Podobno to świecidełko jest warte tyle, co kilkanaście mieszkań w centrum Manhattanu.

Vincent chwycił gazetę.

Tuż pod nagłówkiem widniało czarno-białe zdjęcie. W panującej w barze ciemności trudno było dostrzec coś więcej niż zarys kamienia, ale to w zupełności wystarczyło. Białowłosej złodziej nie potrzebował niczego więcej.

³ „The Enigma” – największy oszlifowany czarny diament świata. Został sprzedany przez dom aukcyjny Sotheby's za 3,16 mln funtów (przyp. aut.).

– Prawdziwa gratka. – Choć wypowiedział te słowa pod nosem, kierując je głównie do siebie, w barze panowała tak absolutna cisza, że Dave bez trudu je usłyszał.

– Dla złodzieja? Owszem, jeżeli na dodatek jest też szaleńcem. – Właściciel lokalu pochylił się i postukał palcem w zdjęcie, na które Vincent dotychczas nie zwrócił uwagi. Przedstawiało mężczyznę w ciemnym garniturze. – To Lucas Milton, spadkobierca fortuny Miltonów, najbardziej wpływowej rodziny w całej pieprzonej Luizjanie. Ich pies ma tyle pieniędzy, że mógłby kupić nas wszystkich – prychnął z pogardą. – Podobno kupił diament dla narzeczonej. Nieźle się ustawiła, co?

Vincent nie odpowiedział. Zamiast tego przechylił nieznacznie głowę w prawo, jak miewał w zwyczaju zawsze, gdy jego splątane myśli w końcu zaczynały układać się w coś, co przypominało bliżej określony kształt.

Patrzył na diament i nie mógł zaprzeczyć, że była to najpiękniejsza rzecz, jaką do tej pory widziały jego oczy. Fakt, jak bardzo był cenny, zakazany i trudny do zdobycia jedynie potęgował jego zachwyty.

Nie słuchał Dave'a, który, kręcąc głową, dodał z westchnieniem:

– Tylko głupiec albo szaleniec zdecydowałby się okraść Miltonów.

Vincent z całą pewnością nie był głupcem. Co do szaleństwa natomiast... Cóż, zdania w tej kwestii były mocno podzielone.

Jedno było absolutnie pewne – Vincent zawsze zdobywał to, czego pragnął. Nawet jeżeli musiał wyrwać zdobycz z rąk samego diabła.

W tym przypadku diabeł nosił nazwisko Milton, był jedynym synem najbardziej szanowanego człowieka w Nowym Orleanie i nie miał za grosz gustu, jeśli chodziło o wybór garniturów.

Dave odwrócił się w tej samej chwili, w której złodziej jednym haustem opróżnił szklanę wina, a następnie wstał i wyszedł z baru tak, jak się do niego dostał – cicho niczym skradający się kot.

Właściciel usłyszał tylko subtelne skrzypnięcie schodów, a gdy obejrzał się przez ramię, miejsce przy barze było zupełnie puste.

– Hej! – zawołał. – Nie zapłaciłeś za...

Zamilkł, ponieważ na blacie, tuż obok pustej szklanki po winie i porzuconej gazety, dostrzegł zapłatę – perłowy naszyjnik.